

PRZYSZLI PAPIEŻE IRLANDII

Darragh Martin

PRZYSZLI PAPIEŻE IRLANDII

Przełożył

Przemysław Zgudka



Wizard Media

Tytuł oryginału:

Future Popes of Ireland

Copyright © 2019 by Darragh Martin

Copyright for the Polish edition © 2019 by Wizard Media Ltd.

Copyright for the Polish translation © 2019 by Wizard Media Ltd.

Żadna część ani całość książki nie mogą być publikowane i reprodukowane w jakiegokolwiek formie bez uzyskania wcześniejszej, pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to również rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych i internetu.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Elżbieta Steglińska

Korekta:

Łukasz Milewski

Skład, łamanie, redakcja techniczna:

Tamaryszek.Art

Projekt okładki:

Maciej Srebrzyński

ISBN 978-1-9998158-4-4

Wydanie I

Wydawca:

Wizard Media



Wizard Media Wydawnictwo

wizardmedia.com.pl

Dla Aoife, Gillian, Caroline i Brendana

Część pierwsza

Chrzest

(1979-1980)

Butelka wody święconej (1979)

Był wrzesień 1979 roku, kiedy papież Jan Paweł II przywłókl do Irlandii seks. Babcia Doyle od razu zrozumiała ukrytą treść jego komunikatów. Piekielna trójca najcięższych grzechów dobijała się do bram Irlandii (rozwód! aborcja! antykoncepcja!). Do walki z nimi potrzebne były zastrępy cherubinów, w drobnych rączkach ściskających srebrne medaliki z Najświętszą Maryją Panną. W Phoenix Park roilo się od pulchnych zmęczonych dzieciaków, które wisząc ojcom na szyjach lub wtulając się w mamusie, słuchały tego, co papież miał im do powiedzenia. Ale babcia Doyle doskonale wiedziała, że żaden z tych Séanów o lepkich rękach czy ziewających Eamonów nie podola temu zadaniu. Nie, chłopak, który zostanie księdzem i z czasem zajmie najwyższe stanowisko w Watykanie, dopiero się urodzi. Ledwo zamknęły się drzwi papamobile, zaczął się wycisnąć do poczęcia pierwszego irlandzkiego papieża.

W pierwszym rzędzie wiernych stała babcia Doyle, uzbrojona w buteleczkę wody poświęconej przez papieża. Odległość między buteleczką trzymaną przez babcię Doyle a kroplami z papieskiego kropidla nie była problemem. W tym dniu nie było miejsca na wątpliwości. Nad głowami wiernych hałasowały helikoptery. Papamobile sunął ulicami. Nowy krzyż wyciągnięty przez Ojca Świętego ku niebiosom niczym drapacz chmur w promieniach słońca lśnił idealną bielą. Od wczesnych godzin rannych cały Dublin, uzbrojony w składane krzesła i termosy z herbatą, walił do Phoenix Park. Radość iskrzyła w powietrzu, choć papież nie powiedział jeszcze ani słowa. Gdy w końcu przemówił, pół miliona ludzi cudem nie zaczęło lewitować z wypełniającego ich poczucia dumy. Papież kochał Irlandię, papież kochał Irlandczyków, a Irlandczycy

kochali papieża. Był to ten dzień. Dzień, w którym kropla wody święconej miała poszybować nad setkami tysięcy niegodnych głów i trafić na tę, której była pisana.

Babcia Doyle zakręciła bladoniebieską zakrętkę buteleczki, po czym zwróciła się do swojej synowej:

– Proszę, kochanie. Pokrop tym dzisiaj łóżko. Grzeczna dziewczynka.

Podobną radę usłyszała babcia Doyle przed laty, w dniu swojego ślubu, od księdza niedorajdy, który był chodzącą odpowiedzią na pytanie, dlaczego Irlandia jeszcze się nie doczekała swojego papieża. Ojciec Jakiśtam podarował pannie młodej najwyraźniej nietrafiony prezent.

Żaden cud nie zdarzył się w wymiętej pościeli przy Dunluce Crescent 7 ani w noc poślubną, ani przez cały następny rok, mimo że młoda pani Doyle leżała posłusznie na materacu i żarliwie modliła się o dziecko. Za swoje poświęcenie doczekała się syna – jedyne i niezbyt udanego. Inne domy przy Dunluce Crescent pękały w szwach od niemowlaków. Ale kochała Danny’ego, mimo że nie był chłopcem, który w przyszłości miałby dokonać wielkich czynów – jego ambicje sięgały co najwyżej bycia rezerwowym w Shamrock Rovers. Najważniejsze, że był dla niej dobry. Zwłaszcza wtedy, kiedy zmarł jego ojciec. Danny nie był ciekawski – tym lepiej dla planu poczęcia przyszłego papieża dzięki święconej wodzie – nawet nie mrugnął okiem, gdy babcia Doyle umieściła buteleczkę w torebce synowej. Żona Danny’ego była równie łagodna jak jej mąż. Posłała babci Doyle życzliwy uśmiech, nie poruszając zagadnień logistycznych ani nie wnikając w istotę teologicznego precedensu, który wkrótce miał nastąpić. Zdawało się, że tylko Peg rozumiała doniosłość tej chwili. Mimo że miała dopiero cztery lata, ta piekielnica widziała wszystko. Było jasne, że niedługo Peg Doyle będzie potrzebowała pary okularów – nieustannie i intensywnie gapiła się na wszystkich. A dla babci Doyle było niewiele gorszych rzeczy niż wnuczka nosząca okulary.

Prawdę mówiąc, uwagi małej Peg nie przykuwała buteleczka wody święconej, tylko torebka mamy. To zdecydowanie nie był udany dzień Peg. Gdy dotarło do niej, że papież nie będzie rozdawał darmowych losów na loterię, jedynie z torebką Catherine Doyle wiązała nadzieję. Być może w jej przegródkach kryły się pyszne czekoladowo-karmelowe batoniki Cadbury's. A może nawet klocki Lego! Jeśli Peg miałyby tego dnia odrobinę szczęścia, być może znalazłyby tam książkę z kolorowanymi. Usiadłyby z mamą na trawie i malowały, nie zwracając uwagi na wredne mamuśki, zmuszające swoje dzieci do wpatrywania się w malutkiego człowieka na malutkiej scenie w oddali. Peg wiedziała, że w maminej torebce nie znajdzie swojego zeszytu. Jego najbardziej pożałowała. Odkąd kilka tygodni temu zaczęła chodzić do szkoły, zdążyła pokochać swój cienki zeszytek. Puste strony tylko czekały na to, aż mała Peg pokryje je swoimi rysunkami, wykonanymi dokładnie według instrukcji nauczycielki. „Mój dom”, „Moja mama” i warta pięciu złotych gwiazdek „Moja ulica” namalowane kredkami. Peg przepisywała z tablicy każdą literkę z wielką uwagą. „Bardzo dobrze” – oceniła nauczycielka.

– Byłoby co najmniej dziwne, gdybyś odrabiała pracę domową w dniu wolnym od szkoły – powiedziała mama Peg. Jakby przepychanie się przez tłum ludzi w parku tylko po to, by popatrzeć na człowieka w śmiesznym kapeluszu w ogóle nie było dziwne.

Peg westchnęła. Buteleczka wody święconej zniknęła w torbie, a szybkie zasunięcie suwaka pozbawiło dziewczynkę wszelkiej radości. Mama czterolatki nie zauważyła jej spojrzenia, wpatrując się w scenę jak wszyscy dorośli. Tacy właśnie byli rodzice Peg: patrzyli tam, gdzie powinni – przed siebie, na zielonego człowieka, w telewizor... Babcia Doyle była inna. Obserwowała uważnie miejsce, w którym w danej chwili przebywała. Teraz wpatrywała się w Peg, która starała się uniknąć spojrzenia babci i skupiła się na swoich nowych skórzanych butach,

będących dla niej zarówno pocieszeniem, jak i głębokim rozczarowaniem. Z jednej strony błyszczące czarne szkolne buty były najładniejszymi butami, jakie kiedykolwiek nosiła Peg. Musiała przymierzyć w sklepie wiele par, zanim jej rodzice znaleźli takie, które błyszczały wystarczająco, by być godne spotkania z papieżem, a jednocześnie były skromne. Te były idealne. Jednak jeszcze lepiej byłoby, gdyby leżały w pudełku. „Wyglądają w nim tak ładnie” – myślała Peg, nie bez żalu rozpamiętując, jak się pięknie prezentowały, jak pięknie błyszczały, zanim nie zostały ublocone podczas spaceru po wyasfaltowanych ścieżkach Phoenix Park. Wydawało jej się, że w swoim życiu nigdy nie spacerowała tak długo jak tego poranka. Nie było to przyjemne – pamiętała tylko masę ludzkich ciał, przez którą przeciskała się wraz z rodzicami, trawę oraz tor przeszkód w postaci rosy i mokrej ziemi. Jedynie myśl o pudełku i zapachu nowych butów, który przyłgnał do papieru, czekającego na jej nos, podtrzymywała ją na duchu. Już niedługo będzie w swoim domu przy Baldoyle Grove 4, w swoim pokoju z domkiem dla lalek, pudełkiem po butach i miękkim dywanem.

– No, to w drogę! Czeka nas długa jazda. – Pudełko po butach musiało poczekać; babcia Doyle miała inne plany wobec Peg. Dorośli żywo o czymś dyskutowali, podczas gdy Peg oddawała się marzeniom. I nagle okazało się, że tej nocy jej stopa nie postanie w domu przy Baldoyle Grove 4. Peg smutnym spojrzeniem omiotła torebkę babci Doyle. Doskonale wiedziała, co się w niej znajduje – drewniane paciorki różańca oraz rozkład jazdy autobusów. Z pewnością nie było tam czekoladowo-karmelowych batoników Cadbury’s, co najwyżej stęchłe, stare owsiane ciasteczka. Peg będzie musiała je zjeść, by udowodnić, że nie jest rozpuszczonym bachorem wysłanym przez diabła po to, by złamać serce biednej babci Doyle. Peg trudno było sobie wyobrazić ten narząd.

– To będzie naprawdę wspaniałą przygodą. – Peg usłyszała nutkę

słodczy w głosie babci Doyle, którą zaraz zastąpił rozkazujący ton – „No, chodź już!” oraz „No, nie zachowuj się tak dziwnie!”.

„Dziwne zachowanie” było ulubionym zajęciem Peg według dorosłych, nieważne, że sami zachowywali się dziwnie. Spojrzała na swoich rodziców. Oczywiście nie mogła na nich liczyć – nie potrafili odmówić babci Doyle.

– No, chodź – powiedziała babcia Doyle nieco łagodniejszym tonem, czując tkliwość dla swojej małej, dziwnej wnuczki.

Ta wyrachowana mała istotka pod swoim czerepem miała prawdopodobnie znacznie więcej szarych komórek niż inne dzieci w jej wieku. Później można będzie zrobić z niej Joannę Chrzycielkę przyszłego papieża. Nie było cienia wątpliwości, że narodziny tego dziecka nadchodziły wielkimi krokami. Dwudziesty dziewiąty września 1979 roku był dniem, w którym nie było miejsca na żadne wątpliwości! Ku zaskoczeniu jej samej babcie Doyle nagle załala fala miłości do tłumu, który jeszcze kilka godzin temu był nieznośny. Euforia wisiała w powietrzu i babcia Doyle dała się jej unieść. Był to dzień, w którym drobne zniewagi odeszły w niepamięć. Nawet nowy skalniak w ogródku pani Donnelly babcia Doyle przyjęła obojętnie – miała zostać babcią przyszłego papieża Irlandii. Cierpliwie wlokła się za bezmózgim tłumem.

– Tak, czeka nas wspaniały weekend – powiedziała babcia Doyle z rumieńcami na policzkach.

Peg nie miała wyboru – musiała podążyć za tłumem dorosłych, brudząc swoje nowe, ładne buty, w duchu uskarżając się na niesprawiedliwość tego świata.

Gdy później Peg przeglądała zdjęcia z wizyty papieża w Phoenix Park, złapała się na tym, że nie pamiętała tłumów, sceny, czy nawet tego człowieka. Dręczyła ją dokuczliwa niepewność, czy aby na pewno pamięta te chwile. Prawdopodobnie za jakiś czas zda sobie sprawę

z tego, jak to wydarzenie wpłynęło na jej życie i stworzy wspomnienia ze swoich fantazji i starych zdjęć. Później dozna wstrząsu, kiedy zrozumie, że był to prawdopodobnie jej pierwszy błąd. W gorsze dni Peg Doyle będzie się zastanawiała, czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby wtedy nie chwyciła ręki swojej babci.

Ale uścisku dłoni babci Doyle nie można było zignorować. Peg została porwana przez tłum, zanim zdążyła się pożegnać z rodzicami. Było też coś innego, nad czym również Peg się zastanawiała – czy rodzice machali jej na pożegnanie, czy może wyciągali po nią ręce w tym samym momencie, kiedy zabrała ją babcia Doyle? Trudno było jednoznacznie odczytać ten gest, może było to coś między machaniem a próbą jej zatrzymania. Ale nic nie było wystarczająco silne, by stawić opór babci Doyle, która popchnęła ją w tę przyszłość.

Rozkładane krzesła (1979)

Babcia Doyle miała wrażenie, że do Galway mogłaby się wybrać na piechotę. Wciąż była podekscytowana tym, że rano widziała papieża. Nawet Dunluce Crescent pachniało świeżością, tak jakby aura z Phoenix Park promieniowała na cały Dublin. Zwykle cicha ślepa uliczka tętniła życiem, skromne ceglane domy nagle wyglądały inaczej w promieniach słońca. Babcia Doyle wiedziała, że jej dom był najładniejszy w okolicy. Posiadłość przy Dunluce Crescent 7 miała wielki, piękny ogród i duży ganek, tonący w blasku ostrego słońca. Babcia Doyle poczuła dumę ze swojego syna. Danny Doyle potrafił zbudować wiele rzeczy, największym jego osiągnięciem był ganek przy Dunluce Crescent 7 – najładniejszy w całym Killester. Kogo obchodziło, że pani Donnelly, ta nuworyszka, w swoim skalniaku zrobiła kamienną fontannę?

Jedynym, co poczuła Peg, kiedy zobaczyła Dunluce Crescent, była ulga. Ale nim rozprostowała nóżki na jednym z rozkładanych krzeseł, babcia Doyle zaczęła snuć plany kolejnej podróży.

– Musimy zdążyć przed korkami! – zawołała z kuchni, tak jakby wszyscy mieszkańcy Dublina byli na tyle szaleni, by jeździć za papieżem po całej Irlandii. – Niedługo rusza w drogę – dodała, dzieląc się wiadomościami z radia ze swoimi przyjaciółkami, które zebrały się na ganku.

Kieliszek wina świetnie pasował do plotek, a ganek był miejscem regularnych spotkań starych plotkar mieszkających w sąsiedztwie. Co jakiś czas, począwszy od końca lat 50., każda z nich wprowadzała się na Dunluce Crescent. Urodziły dzieci, pochowały swoich mężów, ich życie wyglądało tak samo: poranne msze w Killester, wyczekiwanie na kolejny odcinek *Late Late Show* w soboty, narzekania na dzieci i zachwyty nad wnukami w niedzielę... Na ganku babci Doyle omawiały wszystko, co wydarzyło się na ich ulicy. Na każdą co tydzień czekało rozkładane krzesło – przy Dunluce Crescent 7 regularnie odbywały się zloty czarownic.

Jednak Peg wyobrażała sobie sąsiadki babci Doyle raczej jako wróżki ze *Śpiącej królowej*. Pani McGinty była najwyższa i najsurowsza z nich. Przez większość czasu ignorowała Peg, co zdecydowanie nie było najgorszą rzeczą, jaką mogła zrobić dziecku osoba dorosła. Państwo McGinty nie mieli dzieci. Jako że pan McGinty zmarł wiele lat temu, życie pani McGinty kręciło się wokół Legionu Maryi – z fanatyczną żarliwością przewodziła jego lokalnej młodzieżówce. Teraz pani McGinty siedziała z kamienną twarzą, czekając, by wyruszyć w podróż – swoje rzeczy spakowała już poprzedniego wieczoru, a torbę umieściła w bagażniku auta.

Pani Nugent była jej przeciwieństwem niemal pod każdym względem. Drobna kobieta uwielbiała plotkować o cudzych nieszczęściach. Miała tyle energii, że w razie awarii elektrowni mogłaby wygenerować prąd dla całej ulicy. Na wieść o tym, że Peg wybiera się z nimi w podróż, zasypała

ją pytaniami w rodzaju „Czyż to nie wspaniale, kochanie?” lub „Moja droga, czyż nie czeka nas wspaniała przygoda?”. Mówiła bez przerwy – każdą ciszę mogłaby wypełnić swoim paplaniem. Co gorsza, zabrała w podróż jedną ze swoich wnuczek – klębek złości i kończyn będących ciągle w ruchu. Peg nie chciało się zapamiętywać jej imienia, zresztą równie dobrze mogła ją nazywać Nie Rób Tego! Pani Nugent wielokrotnie zwracała się do niej właśnie w taki sposób.

Pani Fay była jedyną sąsiadką babci Doyle, która swoim zachowaniem przypominała dobre wróżki z bajek Disneya. Była dużą, pulchną kobietą, z nieskazitelną fryzurą, na której twarzy malowała się dobroć. Na jej ramionach spokojnie znalazłoby się miejsce na skrzydła. Podczas Halloween pani Fay częstowała dzieci czekoladowymi batonikami, w przeciwieństwie do pani Nugent, która dawała im najtańsze, pas-kudne karmelki, czy też pani McGinty, która miała dla nich jedynie orzechy i jabłka. W domu przy Dunluce Crescent 1 kryły się nieprzebrane skarby – wystarczyło tylko przekroczyć jego próg. Mała Peg wyobrażała sobie świeżo upieczone maślane ciasteczka, półki wypełnione kolorowymi książkami oraz firanki z frędzlami tak pięknymi, że mogłaby je podziwiać przez całe popołudnie. Mąż pani Fay wciąż żył, dlatego nie wybierała się z sąsiadkami w podróż. Bardzo zasmucilo to Peg, ponieważ pani Fay była jedyną osobą, która zauważyła jej nowe buty, i dziewczynka była pewna, że w swojej torbie miała pełno smakołyków.

– Już wyjechał z Droghedy! – zawołała babcia Doyle z kuchni, pobrzękując sztuczkami, tę informację musiała przekazać natychmiast, mimo że mszę dla młodzieży w Galway papież miał odprawić dopiero jutro rano.

– A teraz będzie jadł obiad z duchownymi z Clonmacnoise – dodała pani McGinty.

– Czy to nie skandal, że ojciec Shaughnessy, ten alkoholik, będzie miał okazję zjeść z Ojcem Świętym? – Pani Nugent kipiała ze złości.

Pani McGinty cmoknęła z niezadowoleniem. Jej cmoknięcie oznaczało dezaprobatę – ona nigdy nie krytykowała księży tak otwarcie; ojciec Shaughnessy faktycznie nie należy do duchownych, którzy są godni siedzenia przy jednym stole z papieżem.

– O rety! – krzyknęła pani Fay.

Dawno temu pani Fay doszła do wniosku, że większość wydarzeń można skwitować eksklamacjami w rodzaju „O rety!” czy „Cudownie!”. Zawsze była gotowa podkreślić dobro bądź zło tego świata w ten sposób.

W tym samym czasie pani Nugent znalazła nowy pasjonujący temat.

– Czy już wam mówiłam, że mój wnuczek Darren będzie ministrantem podczas jutrzejszej mszy?

– Tak, już nam mówiłaś – odparła pani McGinty lekko kąśliwym tonem.

– Cudownie! – skwitowała pani Fay.

Wzmianka o tym, że Darren Nugent będzie tak blisko papieża wystarczyła, by babcia Doyle wybiegła z kuchni. Nim wpadła na genialny pomysł z wodą święconą, miała już po dziurki w nosie słuchania o mieszkańcach Dunluce Crescent i ich związkach z papieżem. Pani McGinty miała dalekiego kuzyna, który koncelebrował mszę w Knock¹. Z kolei szwagier pani Brennan miał być w chórze śpiewającym podczas mszy w Galway. Śpiewał na chrzcinach jej maleńkiej Fiony i wtedy został zauważony – więc czyż to nie jej zawdzięczał karierę? Z kolei syn bezbożnej pani O’Shea, która odwiedzała kościół tylko w święta Bożego Narodzenia, czasami na Wielkanoc, pomagał myć papamobil. Jednak babcia Doyle zachowała zimną krew. Była bowiem przekonana, że Darren nigdy nie posadzi swojego zadka na papieskim tronie.

– Jeśli chcecie, jutro mogę załatwić wam autografy Darrena – zaoferowała się pani Nugent.

¹ Chodzi o mszę odprawianą podczas wizyty papieża Jana Pawła II w sanktuarium maryjnym w Knock 30 września 1979 roku. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

– Najpierw musi nauczyć się pisać – cmoknęła pani McGinty.

Babcia Doyle była bardziej wielkoduszna.

– To byłby dla mnie zaszczyt – powiedziała, zamykając drzwi wejściowe i zgarniając Peg z krzesła. – Ale ty także będziesz musiała dać mi swój autograf. Czy nie wspomniałaś mi, że podczas mszy papież puścił do ciebie oczko?

Był to strzał w dziesiątkę. Furia pani McGinty spowodowana bluźnierstwem, jakim było stwierdzenie, że papież puścił oczko, przegnała wszystkich z ganku.

– Tak było, spojrzal mi w oczy i mrugnął – chichotała pani Nugent w drodze do auta.

Niezadowolenie było tym, co łączyło starsze panie – pani McGinty żyła po to, by osądzać bliźnich, zaś pani Nugent żyła po to, by podżegać ją do osądzania. Babcia Doyle promieniała radością. Kochała pogawędki, kochała swoje sąsiadki, kochała swoją ulicę, kochała swoją wnuczkę, i nawet Nie Rób Tego miała tyle instynktu samozachowawczego, by porzucić myśl o rzucaniu w samochody kamieniami ze skalniaka pani Donnelly.

Peg wgramoliła się na tylne siedzenie rozklekotanego fiata pani McGinty i usiadła obok Nie Rób Tego, która teraz badała możliwość użycia pasów bezpieczeństwa jako broni. Na tylne siedzenie wepchnęła się jeszcze pani Nugent, powtarzając w kółko: „Nie rób tego!”, „Wszystko w porządku, kochanieńka?” oraz „Nie, nie mrugnął dlatego, że wpadło mu coś do oka!” i łapczywie zaciągając się papierosem. Peg odsunęła się przezornie od Nie Rób Tego i spojrziała przez tylne okno samochodu. Pan Fay dołączył do swojej małżonki stojącej na poboczu. Państwo Fay uważali, że wybranie się na papieską mszę dla młodzieży było wspaniałym pomysłem, dlatego też był cień szansy, że będą mogli ruszyć na ratunek Peg. Jednak stali w miejscu, uśmiechali się i machali na pożegnanie. Peg

wpatrywała się w oddalający się pusty ganek. Bardzo chciałaby na nim spędzić resztę dnia. Niestety, pani McGinty nacisnęła pedał gazu.

Po chwili Dunluce Crescent zniknęła jej z oczu. Uśmiechy i machanie państwa Fay zastąpiły rzędy takich samych domów z czerwonej cegły. Nie obchodził je przejeżdżający samochód, czekały na kubły z farbą, remonty strychów i kostkę brukową na podwórzach. Los Doyle'ów nic dla nich nie znaczył.

Plastikowa łopatką (1979)

Peg obudziła się, gdy nos papieża wycierał jej czoło.

– Udało mi się dostać dwie sztuki za funta. Czyż to nie wspaniale?
 – Pani Nugent machała pamiątkową ściereczką do naczyń przed twarzą Peg, podczas gdy twarz pani McGinty wyrażała oburzenie bluźnierstwem, jakim byłoby wycieranie naczyń twarzą papieża:

– Nie zamierzasz jej używać, prawda?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała pani Nugent.

Babcia Doyle chrząknęła, by wyrazić niezadowolenie z powodu trzymania potencjalnie użytecznego przedmiotu jako dekoracji.

Pani Nugent zignorowała obydwie:

– Będę miała na niej autograf!

– Od Darrena? – spytała chytrze pani McGinty.

– Nie, od chłopaka, który puszcza do niej oczko – wtrąciła babcia Doyle.

Chichot przyjaciółek to było już za wiele dla pani McGinty, która zaatakowała drzemiące jeszcze Peg i Nie Rób Tego.

– Wstawać, wstawać! Nigdzie nie pojedziemy, jeśli nie podniesiecie się z tego wyra! – rzuciła w ich stronę.

Peg jęknęła. Tej nocy, na rozkładanym łóżku, spała naprawdę niewiele. Dzielili ją z Nie Rób Tego, która w swoich snach walczyła z istotami o nadprzyrodzonej sile, kopiąc przy tym Peg. Do Mayo dotarli późnym wieczorem. Wszyscy jakoś zmieścili się w domu w Clougheally nad brzegiem Atlantyku, w którym w dzieciństwie mieszkała babcia Doyle. Choć nie leżał on po drodze do Galway, można było w nim przemocować i dokooptować kolejnych członków tej szalonej pielgrzymki.

Dolłączyli do nich kuzyni oraz Nanny Nelligan, matka babci Doyle. Peg gapiała się na swoją prababcie. Niezliczona ilość zmarszczek na jej twarzy wskazywała na to, że urodziła się jeszcze w XIX wieku. Swoją kwaśną miną dawała do zrozumienia, że wolałaby zostać w domu. Peg była zszokowana, że ktokolwiek może być starszy niż babcia Doyle. To była stara istota z głową przykrytą ciemną chustą, mamrocząca coś po irlandzku i kręcąca się po skrzypiącym domu położonym na skraju oceanu.

Peg była przekonana, że dom jest nawiedzony. Również z tego powodu źle spała. Z całą pewnością mogła usłyszeć mieszkające tutaj duchy. Nie Rób Tego zgodziła się z nią, tym razem była zainteresowana tym, co Peg mówi.

– To tylko wiatr – zbesztala je babcia Doyle, ale Peg była pewna, że kłamała. W jej oczach również ujrzała strach. Nawet jeśli był to wiatr, nie był to wiatr wiejący z tego świata – okna w domu Peg nigdy nie stuknęły w taki sposób. W tym domu na ścianach wisiały czarno-białe zdjęcia ludzi, którzy już nie żyli, drzwi skrzypiały przy każdym otwarciu, a powietrze było gęste od tajemnic i smutku. Jednak mieszkańcy Clougheally byłiby zadowoleni z duchów, bo oprócz nich nie było we wsi nic ciekawego – kilka domów, zaniedbane farmy, kiosk i dwa puby.

– Może wybierzemy się na plażę, zanim ruszymy w dalszą podróż? – ciocia Mary wiedziała, że ucieczka z tego domu była jedyną rozsądną rzeczą, jaką można było zrobić. Ciocia Mary była młodszą siostrą babci Doyle. Peg mówiła na nią „ciocia”, ponieważ wydawało jej się, że należała do innego pokolenia niż kobiety z Dunluce Crescent. Ciocia Mary miała krótko ostrzyżone siwe włosy, nie farbowała ich i nie nakręcała na wałki. Chodziła w spodniach, stawiała długie kroki, jakby chciała zakomunikować światu, że widziała już wszystko. Jej podbródek mówił: „myśl, co chcesz”. Peg była pewna, że w uczniach szkoły w Galway, w której uczyła, Mary Nelligan wzbudzała strach, mówiono o niej Strasz-

liwa Mary. Ale Peg nigdy się nie bała cioci Mary. To ona pokazała Peg zielistkę, w której Nanny Nelligan miała chować resztki mięsa z rosolu („Z pewnością się nimi najadła” – stwierdziła) oraz kamień na wybrzeżu, pod którym można było zostawić wiadomości dla wrózek („Zobaczymy, co odpiszą”). Gdy rozmawiała z Peg, w jej głosie nigdy nie było surowości.

Babcia Doyle zajęła się Nanny Nelligan, co wykorzystała ciocia Mary.

– Byłoby zbrodnią nie przywitać słońca w tak piękny dzień! – ubrała Peg i Nie Rób Tego i poszły na plażę, zanim pani McGinty zdążyła zaprotestować. Ciocia Mary miała swoje sposoby na dostanie tego, czego chciała.

Wschód słońca na plaży w Clougheally chciałby zobaczyć każdy, Peg była tego pewna. Atlantyk zmierzał w ich stronę, przynosząc najnowsze wieści z Nowego Jorku – tak przynajmniej mówiono. To nie tak, by kogoś z Clougheally interesowały plotki zza oceanu – to, co działo się teraz w Mayo, było wystarczająco absorbujące. Peg wpatrywała się w horyzont, zdumiona bezkresem nieba i morza. W oddali, w Broadhaven Bay, majaczyła grupka kutrów rybackich, z góry pikował jakiś ptak. Było tu pusto i spokojnie – co za miła odmiana po rozgardiaszu w Phoenix Park. Peg z łatwością mogła wyobrazić sobie dzieci króla Lira, które szybowały po podobnym niebie i wylądowały na jednym z głazów w Clougheally, który dzięki temu zyskał nazwę *Cloch na n-ealaí*, Łabędzi Kamień.

Za każdym razem, gdy odwiedzali to miejsce, Peg prosiła ciocię Mary, by opowiedziała jej o dzieciach króla Lira. Według legendy król Lir miał czworo dzieci – córkę Fionnualę i trzech synów. Wszystkie były tak dobre, jak tylko dobre mogły być dzieci. Zbyt dobre dla swojej złej macochy, która pozamieniała je w łabędzie i wyгнаła, skazując na dziewięćset lat

bląkania się po najbardziej odludnych miejscach Irlandii. Plakały, za schronienie mając jedynie swoje skrzydła, którymi wzajemnie się otulały. Po dziewięciuset latach tulaczki odzyskały ludzką postać, ale były już bardzo stare. Spotkały świętego Patryka i przyjęły chrzest, po czym umarły. Clougheally było częścią legendy o ich cierpieniu – trzysta lat swojego wygnania spędziły w Erris, w hrabstwie Mayo, w którym leżało Clougheally. Zgodnie z miejscową legendą cztery łabędzie siedziały na kamieniu nad brzegiem i wpatrywały się w Atlantycką Głaz, do którego lubiła chodzić Peg, był właśnie Łabędzim Kamieniem. Leżał na wierzchu stosu kamieni i wydawał się przerażającym miejscem do spędzenia na nim kilkuset lat.

– Nie rób tego!

Nie Rób Tego interesowała się Łabędzim Kamieniem z zupełnie innego powodu. Był najniebezpieczniejszym miejscem na plaży, na które można się było wspiąć. Wdrapywanie się na niego było bardzo niebezpieczne, dlatego zmierzała w jego kierunku.

– Znajdź sobie jakąś inną zabawę – fuknęła pani Nugent, która dotarła nad brzeg oceanu.

„Inna zabawa” polegała na przesypaniu piasku w poszukiwaniu kamieni, którymi mogłaby rzucać w biedne ptaszki. Peg zostawiła ją i sama poszła pilnować skarbów na swoim kawalku plaży. Ciocia Mary dała jej plastikową łopatkę – plaża stała przed nią otworem. W piasku można było znaleźć mnóstwo wspaniałych rzeczy: monety, które mogły pochodzić z różnych krajów, różnokolorowe kawalki szkła oraz tak wiele muszelek, że Peg musiałaby spędzić cały dzień na ich układaniu. Nie spieszyła się z tym zbyt, spokojnie oczyszczała muszki z piasku i układała je według wielkości. Najładniejszą chciała zabrać do Dublina i położyć na parapecie, mogłaby nawet narysować ją w swoim zeszycie. Ciocia Mary stała z boku. Od czasu do czasu pomagała Peg szukać skar-

bów, głównie jednak jej pilnowała. Nawet pani Nugent milczała, ciesząc się porannym papierosem i filiżanką herbaty na pustej plaży. W tym miejscu we właściwe dni można było usłyszeć trzepot skrzydeł ptaków z drugiego końca zatoki. Układając muszelki na piasku w porannym słońcu, Peg czuła przypływ szczęścia.

Ale pojawiła się babcia Doyle niczym czarna chmura na czystym niebie.

– Co wy tutaj robicie? Mamusia już czeka w samochodzie, musimy ruszać, jeśli chcemy ominąć tłumy!

Ciocia Mary westchnęła i rzuciła Peg spojrzenie mówiące, że „takie jest życie”. Pani Nugent zgasila papierosa na muszelce Peg i zwróciła się do swojej wnuczki:

– Na litość boską, czy możesz już przestać? Twoja sukienka jest cała mokra! Musimy już iść. Papier nie może czekać w nieskończoność na mój autograf!

Część druga

Beatyfikacja

(2007)

Zegar Clerysa (2007)

„Damien, ty mały zbrojeńcu” – takiego powitania spodziewał się Damien Doyle, gdy Mark w końcu się zjawi. Był podniecony już na samą myśl, że usłyszy te słowa. Ukrył swoją zarumienioną twarz za najnowszym wydaniem „The Irish Times” – był pewien, że ludzie idący O’Connell Street widzą jego rumieniec, mimo że patrzyli przed siebie. Damien jeszcze raz spojrzal na wielki zegar na domu towarowym Clerys, odmierzający czas miasta. Wskazówka była coraz bliżej piętnaście po. Mark się spóźniał. Mark zawsze się spóźniał, ale Damien był nieule-

czalnie punktualny. Nawet myśl o tym, że mógłby się spóźnić kilka minut przygnębiała go. Poza tym nie przeszkadzało mu czekanie. Wciąż było to dla niego nowe doświadczenie – czekać na kogoś. Na kochanka. Tylko zakochani spotykali się pod zegarem Clerysa – tak mówiono. Damien wyobraził sobie elegancko ubranych mężczyzn czekających przed wielkim domem handlowym, których serca radują się na widok ładnej dziewczyny w letniej sukience, śpieszącej się na pociąg podmiejski, ale zwalnijącą kroku, by się nacieszyć przechadzką. Zegar odmierzał czas zakochanych od dziesięcioleci. Zakochanych, którzy nie mówili na siebie „ty mały zbroceńcu”. Damien znów się zarumienił, myśląc, jaki charakter ma to miejsce spotkań. Możliwe, że zegar w końcu spadnie i rozbije się w akcie protestu.

Damien kartkował „The Irish Times”. Był on jedynym idiotą czekającym pod zegarem – wszyscy oczywiście mieli telefony komórkowe. Chciał sprawiać wrażenie przyzwoitego obywatela, a nie gościa, który czeka, aż poczuje język swojego chłopaka w uchu. A więc – wiadomości. Wciąż to samo: problemy szpitali, protesty przeciwko Shellowi w Mayo, wybory. Zielonym udało się zaklepać miejsce na stronie czwartej. Zamieścili tam swój manifest. Ale nie rzucił się w oczy, bo większość strony zajmował artykuł o nowej strategii rządu odnośnie do zmian klimatu. Było to naprawdę irytujące – Zieloni powinni mieć większe możliwości dotarcia do potencjalnych wyborców, jeśli chcieli powalczyć o miejsca w parlamencie. Damien przeglądał pozostałe strony. Gdy natrafił na zdjęcie Brangeliny, zaczął się zastanawiać, jak można by nazwać ich parę – „Marmien” czy „Dark”?

– Spójrz no na siebie! Pożerasz Brada Pitta wzrokiem w biały dzień, ty obleśny zbroceńcu! – Mark pojawił się znikąd, jak zwykle wykorzystując element zaskoczenia. Szybki pocałunek i „The Irish Times” wraz z Bradem Pittem znalazł się w teczce Damiena.

- Wiesz, że tylko dziadki i wieśniaki spotykają się pod zegarem Clerysa? – spytał Mark. „I zakochani” – prawie wymusnęło się Damienowi.
- Zaspokajam tylko twojego wewnętrznego wieśniaka...
- Mój dom jest tylko pół godziny drogi od Belfastu!
- „Wieśniak” oznacza po prostu – „nie jesteś z Dublina”.
- Brzmi dobrze. Tobie, mój drogi, zdecydowanie bliżej do dziadka.
- A odpierdziel się, głupi wieśniaku.

Kolejny pocałunek, na środku O’Connell Street, do diabła z dziadkami i wieśniakami.

To było dla Damiena coś nowego, te wszystkie gesty, które Mark wykonywał tak odruchowo – całowanie mężczyzny na środku ulicy albo trzymanie się za ręce podczas przechadzki po mieście, bez zastanawiania się, czy pani McGinty, Jason Donnelly albo ktoś inny, kogo znał, nie skręca właśnie z Talbot Street. Damien spojrzął na zegar Clerysa – na pewno nie takie rzeczy widywał. Damien czuł się bardziej skrępowany w północnych dzielnicach Dublina, zwłaszcza na O’Connell Street. W tej okolicy pełno było religijnych świrów, tutaj działał Legion Maryi, do którego Damien kiedyś należał. To tutaj wraz z panią McGinty brał udział w manifestacjach, trzymał transparent i skandował hasła przeciwko aborcji. Fanatyków już tutaj nie było – tak jak pomnika Zdziry w Jacuzzi². Nie było też babci Doyle. Byli za to ludzie różniący się wyznaniem, orientacją seksualną, kolorem skóry oraz „ten pierdolony szpi-kulec”, jak Mark nazywał Spire³, który właśnie mijali, wraz ze zgromadzoną przed nim grupką turystów. Mark nie mógł przejść obok Spire bez wygłaszania tyrady na jego temat.

² W orygl. *Floozy in the Jacuzzi* – pomnik nagiej kobiety symbolizujący rzekę Liffey. Wcześniej stał na O’Connell Street, skąd przeniesiono go do Croppies Memorial Park, parku położonego nad brzegiem rzeki.

³ *Spire of Dublin* – 120-metrowy monument postawiony na O’Connell Street w 2003 roku z okazji uczczenia nadejścia nowego tysiąclecia.

– Czy kolumna Nelsona⁴ w kształcie fallusa już nie wystarczyła? Dlaczego musieli postawić kolejnego, jeszcze większego fiuta? Wciąż stawiamy jakieś nowe gówna, które pną się ku niebiosom, zamiast tworzyć przestrzeń do rozmowy i dyskusji, na tym polega problem.

Doszli do The Oval Bar. Damien wolalby Front Lounge, ale Mark pijał tylko w knajpach dla podstarzałych mężczyzn. Gdy Damien zamawiał sobie guinnessa, Mark kontynuował swoją tyradę. „Problem” był tematem pracy doktorskiej, nad którą Mark od czasu do czasu pracował. Jej tytuł brzmiał: „Celtyski Tygrys zjada parlament, 1973–2002”.

– ...to taki sam szajs jak te wszystkie centra handlowe. Kiedyś mieliśmy place, na których mogliśmy prowadzić dysputy, teraz mamy tylko galerie handlowe, w których robimy zakupy. Sklepy, które okazują się klimatyzowanymi grobowcami pełnymi komputerów, zestawów stereo i innego nikomu niepotrzebnego gówna. Naprawdę świetna zagrywka – zagarnięcie nazwy tego, co właśnie zrównałeś z ziemią i udawanie, że wszystko jest w porządku. Weź taką dolinę Liffey, zrównaj ją z ziemią, a to brzydactwo, które postawisz w jej miejsce, nazwij Liffey Valley. Naprawdę genialne! Wiesz, teraz bardziej potrzebne są nam miejsca, w których możemy dyskutować o ideach, a nie kupować nikomu niepotrzebne gówno.

Damien nie był pewny, czy wywód ten był częścią pracy doktorskiej Marka, czy też nie. Teraz, gdy się upewnił, że barman nie pochodzi z Dunluce Crescent, odetchnął i upajał się monologiem Marka. Zbyt wiele słów do wypowiedzenia, zbyt wiele pomysłów do zrealizowania, ale czyż Partia Zielonych nie była na to najlepszym miejscem? Czyż Mark nie był jednym z jej najlepszych wolontariuszy? Damien wziął kolejny łyk piwa i zachwycił się wszystkim w Marku – znoszonym swet-

⁴ Kolumna postawiona w 1809 roku na Sackville Street, ówczesnej O’Connell Street. W 1966 roku została zniszczona w wyniku wybuchu bomby podłożonej przez Irlandzką Armię Republikańską.

rem z welny z wysp Aran, w którym chodził już w ubiegłym tysiącleciu. Wielkimi dłońmi, którymi zbyt mocno gestykulował. Niebieskimi oczami, którymi wpatrywał się w rozmówcę tak, że mógł on dostrzec w nich każdą brązową lub szarą cętkę. Motylki w brzuchu Damiena wykonywały piruety. Nawet po roku słowa „mój chłopak” nie stały się zupełnie zwyczajne.

– ...i właśnie z tego powodu potrzebujemy miejsca, w którym możemy swobodnie dyskutować o ideach!

Damien wrócił na ziemię. Mark wyciągnął „The Irish Times”, by zerzeć rozlane przez siebie piwo. Gazeta była otwarta na stronie z artykułem, którego Damien nie przeczytał. Była w nim wzmianka o tym, że Jan Paweł II niedługo zostanie beatyfikowany. Zdaniem Damiena nie miało to nic wspólnego z wyborami, ale nigdy nie było wiadomo, co zachęci Marka do dalszej dyskusji.

Kolejna rzecz, którą kochał w Marku – gdy już zaczął mówić, nic nie mogło go zdekoncentrować – po prostu mówił i mówił.

– Pieprzyć to hagiograficzne gówno! Nikt nie ma jaj, by powiedzieć szczerze, co myśli, gdy ktoś znany umiera.

– Myślę, że ludzie po prostu potrzebują czasu na przeżycie żaloby – odważył się powiedzieć Damien.

– Nie! – Mark prawie krzyknął. – Te pierdoly w rodzaju „szanujmy zmarłych” to tylko sposób prawicowców na umocnienie swoich mitów. Tak samo było z Reaganem – te kilka lat po śmierci jakiejś ważnej osoby to czas, w którym tworzy się jej spuściznę. Nikt nie ma jaj, by wytknąć papieżowi gówna, których się dopuścił – wygłaszanie w Tanzanii kazań, że kondomy to grzech, podczas gdy ludzie umierali na AIDS. To pojebane, że takie coś predestynuje do bycia świętym.

Damien wziął łyk guinnessa i kiwnął głową. Minie chwila, zanim Mark dotrze do sedna sprawy bądź sięgnie po piwo. Musiał zmienić temat,

uniknąć rozmawiania o papieżu, by nie doszli do papieża Jana Pawła III. Nie rozmawiał ze swoim bratem od czasu tamtej sprawy. W przeszłości Damiena było wiele rzeczy, których wolał nie pamiętać – mówiąc eufemistycznie. Jak choćby tamta sprawa z Peg, o której Damien zdecydowanie wolał nie myśleć. Za to pomyślał: „Do diabła z Doyle’ami”. Nie ma to jak rodzinka, która chciała, byś taplał się w przeszłości jak w błocie, podczas gdy dla ciebie ważna jest przyszłość. Skupienie się na przyszłości było tym, co kochał w pracy dla Partii Zielonych, organizacji politycznej na miarę dwudziestego pierwszego wieku, niemającej korzeni w bagnie wojny domowej, o której najlepiej zapomnieć.

– Nie martw się, kochanie, jak już będę miał swoje biuro w Leinster House, na ścianach będziesz mógł malować graffiti do woli.

Kolejna rzecz, którą kochał w Marku – jego oczy były prześliczne, nawet gdy nimi przewracał.

– Taa – odpowiedział Mark. – Kraj zmieni się po tych wyborach nie do poznania.